1847. Nr 32. d. 10 Listopada ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

PRZESTROGA.

Po co ty! po co, z twojego ogródka
Za innym kwiatem piękniejszym zaśniła?
Po co ty! po co szczęśliwa, malutka,
Za tém co większe dzisiaj zatęskniła?
Po co niewinną piosnką kołysana,
Zachciałaś całą pieśń świata przenócić?
Po co marzeniem, ułudą chowana,
Żądałaś prawdy stronnicę przerzucić?
Po co pokarmem codziennym żywiona:
Chciałaś skosztować anielskiego chleba?
Czemu, po ziemi chodzić nauczona,
Wrzącém pragnieniem poglądasz do nieba?

Coć rzekli, dawniéj wierząca w pokorze,
Kiedyś zerwała dzisiaj ducha wodze,
I puszczasz łódkę na wszechwiedzy morze,
I stawiasz kroki na wszechbadań drodze;
Masz-że odwagę, masz ty ducha śmiałość,
Aby nie upaść w ciężkiéj prób godzinie?
O! na téj drodze twardo będzie nodze,
O! na téj drodze nie jedna łza spłynie;
Ale wytrwałość?—Zbawi cię wytrwałość!
Jeśli myśl twoja niestała, chwiejąca,
Chce się w tę przestrzeń nieskończoną rzucić;
Duszyczko młoda, burzliwa, gorąca,
Zagaśnij lepiéj niż się masz wstecz wrócić;
Bo tam za tobą już kwiaty zwiędniały,
Co cię cieszyły, co lubo woniały,
Piosnka dziecinna na wieki przebrzmiała,
I pusta będzie tobie ziemia cała.
Będą ci smutne wszystkie świata końce,
Ni tu powabu, ani tam świeżości;
Mgły nie przebite zakryją ci słońce,
Ty sama zwiędniesz w pustyni ciemności.

W. K.



O LUDOŻERSTWIE.

(Ciąg dalszy).

Jeśli poprzedzające rodzaje ludożerstwa obudzały w nas odrazę połączoną z oburzeniem, jeśli nosiły na sobie piętno poniżenia i uzwierzęcenia, tedy, ten o którym teraz wspomnieć mamy, powinien raczéj pobudzać nas do litości.—Są niedole, w których ofiarami trzeba nazwać zarówno potępiających jak potępionych, i niewiadomo która z nich godniejszą jest politowania;—takiemi niewątpliwie muszą być ludzie, których głód najwyższy zmusił do jedzenia sobie podobnych stworzeń.—Zastanawiając się pilnie nad naturą ludzką, któréj prawa dwoistéj natury, materjalne i umysłowe, wyryte są i odziane czystym materjalizmem, w któréj potrzeby ciała wołają głośniéj o zaspokojenie aniżeli dusza—w któréj pierwszym warunkiem istnienia jest ciągłe nagradzanie strat materjalnych przez użycie siły życia poniesionych, w któréj tedy żołądek jest w stanie wydać walkę duchowi i nieraz ją wygrać; któż nie powie, iż może te całe ucywilizowane narody dziś jak kwiat bujnie wytuczony, bogate siłą ciała i ducha, gdyby im nie stało nędznego jadła, jutro stałyby się tylko stadem szakali szukających zwłok swoich braci dla pożarcia.— Smutną tę myśl potwierdza smutniejsze jeszcze przekonanie: iż niektóre narody Oceanii i Ameryki były lub nawet do dziś dnia są ludożercami dla téj jedynie przyczyny.—Nie jeden już ekonomik polityczny, nie jeden prawodawca i filozof zwracał swoję uwagę na potężny wpływ jaki wywiera dobry byt materjalny na moralność i szczęście narodów—ale naturaliście chyba tylko i biologowi zachciéwało się zastanawiać nad smu-

tnym obrazem człowieka, w którego żołądku głód zawołał okropnym głosem: mięsa! chleba! i czémże przed tym tyranem władza ducha? upada.—Wtedy się dopiero czuje, że dusza jest tylko gościem w gmachu ciała—jeśli ciało osłabnie zagrożone głodem, duch zamilknie lub uciecze.

Lecz jestże to podobieństwem, żeby Stwórca wlawszy w człowieka wrodzoną odrazę do téj tyranii, chciał go razem narazić na nią odbierając sposoby wykarmienia siebie istotami innemi?— Potwierdzić tego nie można, najdziksza bowiem pustynia pod ręką człowieczego przemysłu wydaje owoc—i jeśli ten nędzny padół był w stanie dać życie człowiekowi, będzie zapewne w stanie utrzymać je nadal—jednakże są wypadki, w których wiele przyczyn nie dało się rozwinąć przedsiębierczemu umysłowi człeka i jednocześnie zniszczyło zasoby do życia służące lub zarzuciło w strony niegościnne.—Te wypadki nie są jednak zbyt rzadkie i warte boleśnego zastanowienia się.

Jest wiele wysp Oceanji, których ziemia formacyi wulkanicznéj, lub przez odkrycie się nowych wulkanów zamieniona w taką, ledwo jest w stanie dać przytułek nędznym roślinom i to po większéj części morskim, kilku zwierzętom do których złowienia potrzeba narzędzi i sztuki, i ptakom gościom niebieskim—i cóż zostaje biednym wyspiarzom jeśli nie zamienić się w korsarzy dla zyskania mięsa ludzkiego, lub użyć wszelkich zdradliwych podstępów dla zamordowania Europejczyków, którzyby przybyli do tych niegościnnych brzegów.—Większa połowa podobno ludożerstwa pierwiastek swój musiała mieć w téj smutnéj konieczności. Mieszkańce Viti, Nowéj Kaledonii, wysp Salomona, Archipelagu Samoa, dotąd wedle opisów podróżników, są najnędzniejszemi istotami, nagiemi, bez mieszkania nieraz, lub w nędznych szałasach pędzącemi życie śród ciężko zaspokojonych nawet potrzeb materjalnych.—Niemasz podobno smutniejszego widoku i bardziéj zdolnego zachwiać wiarę w naszą naturę nadziemską jak obraz wielu z pomiędzy tych wyspiarzy, jak np. dzikich Archipelagu Viti: głód tu był i jest pierwszym nauczycielem ludożerstwa, on codzień wskazuje ofiary—a upadlając umysł pozwala się mu tylko o tyle rozwinąć, o ile potrzeba dla zastawienia sidła ofiarze na którą po zwie-

rzęcemu poluje i po zwierzęcemu pożera.—Dzisiaj na wyspie Nouka-Hiwa tak przez ubóstwo swéj ziemi są spodleni, iż nieraz w czasie głodu, zjadają nie tylko jeńców wojennych, ale nawet własnych starców, rodziców, żony i dzieci własne, i to ich różni od wszystkich innych ludożerców—jakkolwiek bowiem kraje podbiegunowe są zwykle najuboższe, jednakże nigdy głód nie doprowadza tam aż do użycia podobnego sposobu—największém okrucieństwem zgłodniałych mieszkańców zatoki Hudson i Groendlandji jest zostawić biednych starców swoich na ofiarę głodu.

Okrucieństwo zwykłe ludom strefy cieplejszéj, musi pochodzić od wpływu klimatu, wiadomo bowiem jak ciepło sprzyja rozwinięciu funkcyi zwierzęcych, a nawzajem najwyższy stopień zimna jest w stanie przytłumić je i zawiesić ich czynności—dodać należy, że toż ciepło sprzyja razem rozwinięciu się namiętności i okrucieństwa pobudzając wyparowywanie organiczne i czynność nerwów—mózg jest w tym razie wiecznie pod przeważnym bodźcem zgęstniałéj massy krwi wprawionéj w ruch przyspieszony;—codzienne doświadczenie nas uczy jak wielki wpływ mają na nasze życie umysłowe miesiące letnie, w których upał jednocześnie pobudza życie i wyczerpuje one. Ten ogromny wpływ organizmu na życie moralne aż nadto tłumaczy okrucieństwa, które nieraz popełniali ludzie nie mając do nich pierwéj żadnego usposobienia.

Oblężeni nieszczęśliwi, pozbawieni ostatnich potrzeb życia, nieraz byli mimowolnemi kannibalami.— Jeruzalem, wedle Tacyta i Józefa Żydowina, miało być podczas oblężenia przez Wespazyana nieraz sceną morderstw i pożerania ludzi dla nasycenia głodu. — Smutne jest opisanie kapitana Pollard, który część ludzi okrętowych przymuszony wysadzić na szalupę, był długo miotany po oceanie, nim wreszcie po najwyższych męczarniach głodu dostał się do pożądanego brzegu. Głód na szalupie szczególniéj był tak wielki, iż najprzód przymusił ich pozrzeć dwa trupy swych towarzyszy, a kiedy i tego pożywienia zabrakło, ciągniono losy, kto ma być zabity i zjedzony, a nieszczęśliwy od losu przeznaczony, uległ wyrokowi.—Biedni tułacze zjedli jeszcze dwa trupy; a kiedy ich odkryto i ocalono,

znaleziono każdego z nich osobno i zdawali się być podobniejsi do widziadeł aniżeli ludzi.

Niemniéj smutny opis podobnéj niedoli zostawił kapitan Jan Dean, którego okręt uległ rozbiciu, a wyrzucony na nagą skałę pośród samotnego oceanu w miesiącu grudniu, razem z towarzyszami, kilka tygodni był ofiarą okropnych tortur głodu i zimna. Ledwo jaką roślinę morską i po parę ostryg można było znaleźć dla każdego z biednych rozbitków — fala wyrzuciła z resztek rozbitego okrętu skóry zwierzęce, więc je pokrajano i zjedzono; — nędza była tém okropniejsza, iż nie byli w stanie zrobić sobie ognia; połowa rozbitków schorzała, w ranach, opanowana skorbutem, czekała chwili zgonu, wreszcie zaczęli umierać—umarł jeden: „wówczas to—powiada sam nieszczęśliwy aktor téj sceny—po dojrzałym i spokojnym rozważaniu całéj prawności czy zbrodni tego czynu, przymuszeni bezwzględną potrzebą, w obec któréj rozum, sumienie i wszystkie uwagi musiały ustąpić, bo głód pożerał, postanowiliśmy mu dogodzić. Ułożono, aby skórę, ręce, nogi, głowę i wnętrzności rzucić w morze a ciało podzielić na kawałki dla lepszego przenoszenia.— Gdy należało przystąpić do spełnienia, nikt nie znalazł dosyć sił w sobie, każden mnie prosił żebym się podjął. Co za okropny obowiązek! Tylko bezustanne błagania moich nieszczęsnych towarzyszy były w stanie zwyciężyć mą odrazę.—W wieczór dokończyłem roboty.

„Odciąłem kawał ciała i zmoczywszy w morskiéj wodzie przyniosłem do namiotu.—Radziłem aby je jeść z roślinami morskiemi w miejscu chleba. Żołądek mój oburzył się za pierwszém połknięciem pierwszego kęsa, chociaż głodem okrutnym gnieciony, nieraz z rodzajem pożerczéj żądzy patrzałem na własne palce pokryte ranami. Dwóch także innych moich towarzyszy odrzucili od siebie ten pokarm, ale nazajutrz sami oń prosili.

„Ponieważ uważałem jak wszyscy pożerali z rodzajem chciwości, zaniosłem więc trupa na najodleglejszą część skały, daleko od namiotu, aby nasi towarzysze nie mogli go dostać i nie zaszkodzili sobie nadużyciem. Oznaczyłem też równe porcye dla każdego, żeby uniknąć zazdrośnych kłótni; miałem tym ważniejsze powody do jęcia się tego sposobu uważając w przeciągu dni kilku nadzwyczajną różnicę w chara-

kterze mych towarzyszy. Nie byli to już ludzie spokojni, z uczuciem jedni dla drugich. Ze spojrzeniem dzikiém i nieruchomém, z okrutnym barbarzyńskim uśmiechem; w miejscu uprzedzającéj gotowości na me rozkazy jak było pierwéj, nieposłuszni teraz i bez najmniejszego względu. Nie można już było od nich usłyszeć jak tylko wyuzdane kłótnie w miejscu wyrazów łagodnych i prośb pełnych rezygnacyi do których uszy moje nawykły. — Na dobitek mąk, użycie mięsa ludzkiego pogorszyło charakter jątrzników moich towarzyszy, ja sam nawet uległem temu. Wziąłem tłuszczu z nerek nieboszczyka i maść z tego zrobioną przykładałem do części chorych."

Ktoby się spodziewał, że około téj uczty ludzie jak krucy będą używać podstępów i zdrady, żeby sobie wydzierać i tę nawet nędzną strawę, a jednak tak było: „Moi towarzysze mocno mi dokuczali nazajutrz żebym im przyniósł mięsa; dałem im nawet więcéj jak zwykle ale nie tyle ile żądali, bo by byli zjedli wszystko razem. Nie pozwoliłem na to, obiecując że nazajutrz jak czas będzie pogodny dam więcéj. W nocy drzemiąc słyszę, iż dwaj nasi będący na straży rozmawiają z sobą cicho i umawiają się o coś, a wkrótce potém jeden z nich wychodzi z namiotu. Ledwo kilka chwil upłynęło, powraca z kawałkiem mięsa, choć ono było dosyć daleko, a nie mógł odbyć tę drogę tylko wlekąc się na rękach i nogach. — Gdy obaj zaczęli piec to mięso (w końcu dostano ognia, autor nieco wyżéj opisał jakim sposobem), nagle wstałem, chwyciłem ich i uwiadomiłem resztę moich towarzyszów o tém co się działo. Zrazu miałem zamiar ich ukarać, ale zastanowiwszy się co było pobudką wykroczenia, przebaczyłem postrofowawszy surowo. Tak mało zostało wreszcie mięsa, iż tylko na ostatnią wystarczało ucztę.

„Bóg pozwolił że w nocy uspokoił się wiatr. — Z rana kiedyśmy się modlili usłyszeliśmy wystrzał strzelby, a zwróciwszy w tę stronę oczy nasze, spostrzegliśmy zbliżający się statek i t. d."

Ten opis pełen okropnéj prawdy, mógłby natchnąć do obrazu jeszcze straszliwszego niżeli biednego Ugolina pod piórem Dantego.

Podobnież Jan Lery, 1558 roku w powrocie z Brezylii do Francyi był świadkiem okropnego głodu, tak że papuga zabita wystarczyła na dni 4 dla całego towarzystwa i przyszło do jedzenia trupów.

Opisanie okropnego rozbicia jakiego doświadczyła w roku 1800 fregata Meduza, przedstawia nam niemniéj smutny widok całego ekwipażu okrętowego przymuszonego głodem do pożerania ludzi:—„Ci których śmierć ocaliła, pisze Savigni jeden z rozbitków, podczas owéj nocy pełnéj zniszczenia, którą tylko co opisałem, rzucili się z całą zjadliwością na trupy, któremi pomost był usłany, cięli ich na sztuki i natychmiast pożerali. Większa jednak nas liczba zrazu nie chciała ich dotknąć; lecz w końcu ustępując naglącéj bardziéj konieczności aniżeli głos ludzkości, w téj okropnéj uczcie widzieliśmy tylko opłakany sposób ratowania życia; radziłem nawet, wyznaję, aby suszyć skrwawione kawałki, i robić je tym sposobem znośniejszego smaku; niektórzy mieli dość odwagi zupełnie się wstrzymać, i tym przeznaczono większą ilość wina."

Klęska okrętu Meduzy nie może być porównana z żadną inną—głód do tego stopnia wyniszczył liczbę ludzi, że z dwiestu zostało ledwie 28miu—w końcu ułożono dla ratunku, pozbyć się chorych, dwóch majtków i jeden żołnierz podjęli się spełnienia tego straszliwego wyroku. „Odwróciliśmy oczy, kończy naoczny świadek, i wylewaliśmy krwawe łzy nad losem tych nieszczęśliwych. Ofiara tak straszna ocaliła piętnastu ludzi."— W końcu zbrzydzili sobie i ten rodzaj uczty, szukali prawie śmierci, kąpali się w morzu w obec pływających rekinów—charaktery się przemieniły, dzikość owładła umysłami.

Z tych kilku smutnych opisów widzimy, iż ludożerstwo jest nieraz okropną ostatecznością, do któréj przyprowadza człowieka głód: ten pierwszy i najdonośniejszy głos ciała, zdolny wszystkie inne uczucia uśpić a nieraz wytępić—głód, który może wówczas wystarczyć do zaszczepienia zbrodni w najcnotliwszéj duszy, głód! ta funkcya samolubna, która przedewszystkim myśli o sobie. I czyż można widzieć w owéj mimowolnéj niedoli człowieka dowód jego spodlenia zwierzęcego?

Odraza nawet jaką zwykle biedni Europejczycy przyprowadzeni do téj ostateczności doświadczali, aż nadto dowodzi walki ducha oburzającego się przeciw myśli oddawna potępionéj w głębi swego jestestwa, nie może ona nigdy uważać się za dowód gwałtu zadanego naturze, ani przekonywa o tém, że człowiek nie może być ludożercą,

owszem fizycznie człowiek nim być może bez stracenia swéj godności istoty moralnéj—ale moralnie stać się nim nie może bez wyraźnéj choroby moralnéj wszczepionéj w pojęcia za pomocą skrzywionych pojęć religijnych lub politycznych.—Tym więc sposobem idea antropofagii nie może się urodzić jak tylko w społeczeństwie o instytucyach chorowitych lub idywidualnie uważana tam gdzie pojęcia duchowe są skrzywione, albo też upadły pod przeważnym wpływem karmienia siebie.

Dla uzupełnienia historyi kannibalizmu przejdziemy szczegółowie zwyczaje różnych dzikich narodów, których używają w czasie swoich obrzydłych ofiar i uczt. Do takich liczyć należy mieszkańców Archipelagu Viti, którzy równie jak Zelandcycy jedzą zazwyczaj niewolników wziętych podczas wojny, zabiwszy ich zwykle odśpiewują rodzaj hymnu zaczynający się od słów następnych: Lau namua aci laloka, Ejahe, eja-he!—pieśń ta nigdzie nie używana między ludożercami, im tylko jest właściwą.—Zabiwszy i podzieliwszy ciało na sztuki, oddzielają je od kości, które precz odrzucają, a same obwinąwszy wprzódy w liście pieką nad ogniem.—Wedle zdania jednego z podróżnych, mieszkańcy Viti są do tego stopnia ludożercami, iż jednéj uczty zjedli pięćdziesięciu ludzi i tyleż wieprzy upieczonych.—Nie są oni bez pewnéj cywilizacyi, przynajmniéj czują jéj wartość, gdyż Europejczyków złapanych rzadko zabijają, lecz każą im służyć w swoim wojsku spodziewając się tym sposobem więcéj skorzystać. Z téj przyczyny nigdzie tyle ile na Archipelagu Viti znaleść nie można Europejczyków dobrze znających język krajowy—jednakże to nie przeszkadza ażeby ci przybrani towarzysze broni przy pierwszéj zaszłéj sprzeczce nie zostali zabici i zjedzeni.—Kapitan Dillon opisuje jedno z podobnych zajść, gdzie sam znajdował się w największém niebezpieczeństwie: gdyż z dwoma tylko ze swoich potrafił ukryć się na wysokiéj skale, skąd zabijał niedościgniony przez oręż krajowców mnóstwo dzikich. — Dillon był wtedy świadkiem okropnéj uczty jaką przyrządzono z jego towarzyszy: „Wyspiarze,—powiada on, — rozciągnęli na trawie trupy nieprzyjaciół, które ich kapłani na kawałki dzielili.—Operacyę tę odbywano następnie: Najprzód oddzielono nogi od pi

szczeli, potém od udów, od kłębów, następnie odcinano ręce, przedramiona, ramiona i barki, nakoniec dopiéro głowę i szyję oddzielono od tułowia. Każdą z tych części stanowiących kawał mięsa owinąwszy troskliwie w liście zielonego bananasu razem z korzeniem taro wnoszono do pieca dla upieczenia.

„Skoro mięso z moich nieszczęśliwych towarzyszy było upieczone, wyjęto je z pieców, i dzielono między rozmaite pokolenia, które je jadły z pożądliwością. Co chwil kilka dzicy zachęcali mię abym zlazł i dał się zabić za dnia, aby im umniejszyć kłopotu krajania i pieczenia w nocy. Już ze mnie przeznaczono część każdą dla różnych wodzów wedle tego co sobie któren wcześnie wymówił, a wszyscy razem potrząsali orężem chełpiąc się z takiego mnóstwa białych, których tego dnia zabili."

Na wyspach Salomona zwyczaj jedzenia ludzi szczególnym i wyłącznym jest tylko zwyczajem czarnych, którzy największą część ludności stanowią. A chociaż Mindana archipelag ten uważał za nowy Ophir, jednakże nie tylko kruszcu złotego, ale podobno i bezpieczeństwa znaleźć tu nie można. — Dzicy czarni z włosami pomalowanemi czerwono, uważani są za najokropniejszych ludożerców—zapewne to jest przyczyną, iż mimo tylu usiłowań i tylu wieków przez które Portugalczycy starali się założyć osadę w tak korzystnym dla handlu miejscu, wpływ Europy w ogólności zdaje się tu być żadnym.— Mindana, który tyle na to wyczerpał usiłowań, zakończył swoje trudy okrutną śmiercią, którą poniósł z rąk dzikich téj wyspy mieszkańców.

Niemniéj panuje ten srogi zwyczaj i w nowych Hebrydach; mieszkańcy ich jednak nie zdają się być tak srodzy, jak gdzieindziéj ludożercy; wielu nawet ostrzegało zbyt ciekawych Anglików, którym się chciało nadto w głąb zajść kraju, aby zaniechali nierozsądnego zamiaru jeśli nie chcą być zjedzeni. Anglicy udawali że nie pojmują ich znaków, a wtedy dzicy własne gryząc ramiona, dawali znak co ich czeka.

Archipelag Nowéj Kaledonii także nie jest wolny od kannibalizmu, dzicy ci sławni ze zręczności z jaką łażą po drzewach przechodząc swe nieprzebyte puszcze, mają, wedle Labillardiere, być ludożercami

przez samo jedynie obżarstwo — jeśli tak jest, tedy ich należałoby uważać za najwięcéj upodlonych Antropofagów.

Nowa Holandya, ta ziemia ogromem swéj powierzchni przechodząca Europę, nieznana wewnątrz nikomu, może pusta lub siedlisko ludów żyjących w pierworodnéj dzikości po swoich wybrzeżach jakkolwiek napełnionych osadami Europejczyków, nie jednę kryje jaskinię ludożerstwa. Nigdzie więcéj jak tutaj ten straszny nałóg nie przybiera charakteru niskości zwierzęcéj. — Inne części Oceanii bogactwem swéj ziemi, gorącem klimatu sprzyjają kannibalizmowi natury namiętnéj i stanowią istotny fanatyzm połączony z nienawiścią i zemstą, które musiały się wyrodzić w plemionach wieczną walkę za cel istnienia mających — a ut sam nałóg wyrabiał ów zbrodniczy upór natury, która nieraz nie dała się przełamać w niejednym dzikim, gotowym nawet po swém przewiezieniu w inne strony jeszcze zjeść człeka gdyby się udało — tam więc można powiedzieć ludożerstwo przy swém najwyższém wybujaniu, stanowiło niejako chorobę umysłowo-fizyczną okropną, bo z charakterem mocy zdolnéj zwyciężyć wszelkie oddziaływanie Europejczyków; — stąd téż chrystyanizm nawet nie wiele wygrał w walce z tą zapalną chorobą moralności — czas tylko jedynym może tu być odżywcą moralności duchowéj — i potrzeba aby te plemiona tak stopniami odzwyczajały się od swego obrzydłego nałogu, jak stopniami zapewne do niego przyszły. — Missionarze, których tylu dostarcza Europa, byliby tu najskuteczniejszym środkiem, gdyby myśleli więcéj o korzyściach ludzkości aniżeli swoich własnych, gdyby nie zmieniali się raczéj w kupieckich spekulantów aniżeli sług Chrystusa rozkazujących jego naukę miłości bezwzględnéj ludzkości, o co ich powszechnie wszyscy podróżni oskarżają.

Ale jest wiele miejsc, a do tych trzeba liczyć Nową Holandyę, gdzie ludożerstwo nie może się uważać za namiętność czynną, nie może się do niego wiązać ani wyobrażenie nienawiści, ani fanatyzm religijny lub polityczny. — W Nowéj Holandyi i na wielu wyspach strefy łagodniejszéj lub nawet zimnéj, ludożerstwo jest natury całkiem biernéj, a źródłem jego jest *instynkt konserwacyi własnéj* konieczność ratowania się od głodu, téj, jak ją zowią dzicy w Taiti, *pory do jedze-*

nia ludzi.—Południowe i wschodnie wybrzeża Nowéj Holandyi, nad inne częściéj kraje ulegają téj *porze*.—W Nowéj Galii głód jest tak częstym, że jak mówi Cunningham, ludożerstwo jakkolwiek nie jest tam uświęcone podobnemi formami religijnemi jak na Sumatrze lub w Nowéj Zelandyi, nigdzie jednak nie jest tak łatwo zostać zjedzonym jak w Nowéj Galii—tenże autor opisuje jak raz pytając jednego z krajowców około Sydnéj, wielu zjadł nieprzyjaciół w swém życiu? otrzymał odpowiedź na znaki za pomocą palców: iż pięciu, co mówiąc wskazał na szczątki ciała i gardło, które dobył z worka, były to właśnie resztki téj piątéj biednéj ofiary, któréj całe ciało już pożarł—dziki strzegł szczątków téj drogiéj uczty tém więcéj, że ją miał z młodéj kobiety zabitéj w pokoleniu z którém był w wojnie.

Odrętwienie umysłowe, którém szczególniéj celują dzicy tych krajów, robi ich kannibalami dziwnie spokojnéj natury i całkiem zależącemi od okoliczności tak dalece, że wielu z nich nie dało się nieraz przez czas długi poznać z swego obrzydłego nałogu, dopóki nie zostali głodem przyciśnięci—wówczas rzucili się na pierwszego, który im wpadł pod rękę Europejczyka i zjadali go, bez względu że nieco pierwéj prowadzili z nim korzystny handel i utrzymywali związki zupełnie przyjacielskie.— Podobnemi ofiarami zawiedzionéj ufności nieraz stawały się całe okręty, których załogi zostały pożerane—tak i niedawnemi czasy obszerne handlowe kompanije poniosły ogromne straty, kilka bowiem załóg okrętowych i mnóstwo rybaków należących do nich, zostało zdradziecko zamordowanych i zjedzonych.— To jednak niezawodna, iż nie żadna nienawiść do Europejczyków lub co innego jest powodem, jak widzieliśmy w innych stronach, tylko sam głód—bo nieraz w braku cudzoziemców, krajowce z pośrodka samych siebie wybierają nieszczęśliwe ofiary.

Smutny stan tych nieszczęśliwych, pozbawionych najpierwszych potrzeb życia, aż nadto wytłómaczy ich dzikość—ich sama dzikość nawet nie ma tego charakteru mocy przesądnéj, jak np. w Nowéj Zelandyi; przeciwnie kształci ona sobie fanatyzm nacechowany najwyższém niewolnictwem i przesądną bojaźnią. — Nowa Galija może tu służyć za wyborny pierwowzór. Dzicy ci zupełnie nadzy, nie zdolni

zawiązać żadnego liczniejszego społeczeństwa, zdają się szukać i pastwić nad pięknością i słabością—ta nikczemność charakterów dowodząca bojaźliwości wrodzonéj, stwierdza się jeszcze więcéj tém, że o ile dzieci i młode kobiety są godne litości przez swój stan opłakany, o tyle stare i bliskie grobu są tyrankami, samowładczyniami losu nieraz całych pokoleń.—To moralne zjawisko jest tak rzadkie a może jedyne w historyi rodzaju ludzkiego, że warteby było długiego rozważania—my robimy tu o nim wzmiankę o ile ono daje początek obrzydłemu zwyczajowi, który nas w tém piśmie wyłącznie zajmuje.

Kobiety w Nowéj Galii nie są zupełnie pozbawione w młodości wdzięków, któreby—nie licząc innych pobudek,—powinny je zasłaniać choć w części od barbarzyństwa mężczyzn—jaki ich stan opłakany, zwyczaj ich zaślubin dosyć pokaże:—Skoro dziewczyna dorośnie powinna już drżyć z trwogi na samą myśl, że lada dzień przyjdą starający się o nią;—nadchodzą wreszcie ci dzicy, dwaj najmniéj, nieraz daleko więcéj—przeciwnicy każden ze swéj strony ciągną biedną narzeczonę w swoją stronę póki wreszcie silniejszy nie wydrze. Ten żywy, nieszczęśliwy łup nieraz na wpół martwym dostaje się zwycięzcy mężowi. Kobieta więc biedna jest tu obojętną na swój los—kochać jéj nie wolno tylko najdzikszego i najokrutniejszego. Nędza i najwyższe cierpienia prędko wiodą ją do przedwczesnéj starości. Ale zato starość jest tu najwyższym stopniem mocy—w ręku starych kobiet jest wszystko—w ich ręku religijne obrzędy, one odgrywają rolę władzy cywilnéj i wojennéj, a w czasie panującego głodu, one wskazują ofiary na zamordowanie i zjedzenie.— W tym celu na kształt Druidek dawnéj Galii z okropną twarzą wykrzywioną dzikiém natchnieniem, którą nieraz własnemi rozdzierają pazurami, wskazują wybranym przez siebie powiernikom ofiary skazane na śmierć—które podczas snu odbierają niespodzianie cios śmiertelny i służą potém za pokarm zgłodniałym swoim braciom.

Czy ludożerstwo pod taką formą nie jest zjawiskiem najobrzydliwszém w naturze? czy nienależałoby wątpić o przekształceniu téj tak okropnéj zbrodni? Czy przynajmniéj tutaj nie jest ono dowodem ostatecznego, może nawet zwierzęcego poniżenia człowieka? Są to smu-

tne pytania na które twierdzących nie zabraknie dowodów; a jednak to niezawodna, że w Nowéj Holandyi wpływ Europejczyków daleko był skuteczniejszy w wykorzenieniu téj zbrodni aniżeli gdzieindziéj;—co zapewne musi stąd pochodzić, że człowiek jako istota przeznaczona z natury aby była umysłowo-moralną, łatwiéj się wyrzeknie ludożerstwa noszącego na sobie cechę nagiéj zwierzęcości, aniżeli tegoż samego ludożerstwa pokrytego zdradliwym połyskiem chęci sławy złączonéj z nienawiścią, lub pojęć religijnych, słowem rozumowań mniéj więcéj fałszywych broniących go w obec praw ducha. Człowiek i tu mimowolnie wykrywa swój pierwiastek boski, naturę niebieską—popełniając zbrodnie stara się przynajmniéj ubrać je w szaty cnoty—a schodząc na stopień zwierzęcia, znajdzie sofizmata tłumaczące go; a gdy ich znaleść nie potrafi, gotów będzie jąć się pierwszéj ręki dobroczynnéj co go wyrwie z błota zwierzęcego spodlenia. Sofizmata na nieszczęście religijne i polityczne tych dzikich są zbyt zagnieżdżone—a rozum europejski za nadto mało cnotliwy, żeby dobroczynnie przeciw nim oddziaływać zdołał.

Dodać należy, że nałóg zły wytępia wszelkie pojęcie dobrego do tego stopnia, że w końcu człowiek zapomina, iż był dla niego lub mógłby być stan moralny doskonalszy.—Jeden z missionarzy opisuje przykład będący aż nadto dobrym dowodem prawdy, którąśmy tylko co wyrzekli, aby go tu nie przyłączyć. Udało mu się jedną z dzikich kobiet skłonić do wiary Chrystusa—przyjęła ją z całą uległością i pokorą, a że była bliską śmierci i nie mogła prawie żadnych przyjmować pokarmów; dobry więc kapłan pytał ją czegoby żądała do zjedzenia i wspomniał o kilku przysmakach—mój ojcze, odpowiedziała, gdybyś mógł mi dostać kawałek smaczny ze świeżo zabitego dziecka, choćby rączkę, niczegobym więcéj nie pragnęła.—W cóż się musiało zamienić urojenie piękne w duszy poczciwego kapłana po słowach podobnie rozczarowujących!—i co za smutna myśl: iż cnota i zbrodnia są tylko nałogami nieraz!

Oceania ze wszystkich części świata jest podobno dzisiaj jedyną posiadającą wyłącznie albo w największéj ilości ludożerców—a chociaż przez tylowieczny wpływ Europejczyków, Chińczyków i samych-

że Indyan, cywilizacya a z nią wyobrażenia moralno-umysłowe po większéj części i tu siedlisko stałe znalazły, choć Jawa, Borneo i wyspy Filipińskie i inne mogą się liczyć do krajów, których wychowanie sięga dawnych wieków a nawet w ich mgle znika przed historykiem; jednakże do dziś dnia Archipelag Pomutu, Nowa Zelandja, Nouka-Hiwa, Australia, większa część Sumatry i gdzieniegdzie Borneo, a także wyspy Salomona i kilka innych drobnych archipelagów bez najmniejszéj wątpliwości są splamione tym obrzydłym zwyczajem. Nie można żadne z plemion wyłącznie o to oskarżyć.— Plemie malajskie najbardziéj rozszerzone w Oceanii, choć wyraźnie pochodzenia indyjsko-chińskiego, choć w Mindanao równe pięknością plemieniowi Kaukazkiemu, a więc nie nosi cechy budowy fizycznéj poniżonéj; choć na wyspie Jawie przyszło do wysokiéj cywilizacyi, któréj dawność aż nadto potwierdza się pomnikami sztuk i religii obrzędu Brahmańskiego, nie było jednak wolne od tego zwyczaju na wyspach, i dzisiaj mu ulega na wyspie Formozie i gdzieniegdzie w Borneo. Prawdziwa rasa Polynezka i Daya, tak wykształconéj cywilizacyi w Borneo, plami się jednak srogiém ludożerstwem w Nowéj Zelandyi i na Sumatrze.— Papuas jednak, rasa zaludniająca Van Diemen, wyspy Viti, Nową Kaledonię, Nową Irlandyę, wyspy Salomona i t. d. odznaczająca się kolorem ciemnym prawie czarnym, zdaje się stanowić plemię najwięcéj skłonne do ludożerstwa.— Jestże w istocie hańba umysłowa przyłączona do niższości ukształcenia fizycznego, i czyliż się trzyma większości lub mniejszości kąta twarzowego?— Czy raczéj nie należałoby sądzić, że ta niższość budowy fizycznéj, i mniejszy kąt twarzy tak zbliżający ją do podobieństwa zwierzętom, nie pochodzi raczéj z upodlenia umysłowego uwieczniającego się przez długi szereg pokoleń? Czy tu nędza duchowa jest wypadkiem materjalizmu—czy upodlenie materyalne wypadkiem nędzy duchowéj?—rzecz ta potrzebuje obszernego wykładu—my jednak śmiemy utrzymywać, iż w tym przynajmniéj nałogu tak uzwierzęcającym człowieka, różnica rassowa jest bardzo małego lub żadnego znaczenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



WYJĄTEK Z PROGRAMMU

NA OTWARCIE KURSU ASTRONOMII

P. ARAGO.

(Dokończenie.)

Astronomia gwiazd.— Co się tycze gwiazd jest jeszcze mnóstwo niewytłomaczonych zjawisk i dotychczas nierozwiązanych pytań. Zobaczymy jednak, że odkrycia dotąd poczynione w téj gałęzi astronomii, mogą nam dać wyobrażenie o sile pojęcia ludzkiego. — Gdyby słońce zostało przeniesione do krainy gwiazd, wydawałoby się zaledwie oczom naszym jak najmniejsza gwiazdka. Liczba gwiazd widzialnych gołém okiem jest bardzo mała; rachują ich zaledwie 8,000 od jednego bieguna do drugiego, lecz w teleskopie liczba ta niezmiernie się powiększa. Są okolice nieba, w których dostrzegają zbiory gwiazd podobne do mrówisk, gdzie na przestrzeni mniejszéj od tarczy księżyca naliczyć ich można więcéj jak 20,000. Są więc w przestrzeni miliony gwiazd, dotychczas jednak oznaczono ich 100,000, mających służyć jako punkta porównań w obserwacyi biegu planet i komet.

Słońce z całym swym orszakiem zajmuje zaledwo szczupłą cząstkę w tym niezmierzonym przestworzu, a jednak ludzie uwiedzeni zmysłami, zaślepieni uczuciem swéj ważności, uważali się za środek świata, mniemając, że słońce, księżyc i niezliczone gwiazdy, stworzone były dla udzielania im światła.

Jedném z ciągle wznawianych pytań, była znajomość odległości gwiazd od kuli ziemskiéj. Do ostatnich czasów nie znano dokładnego sposobu mierzenia odległości tak wielkich—dopiero od lat pięciu mo-

żna było oznaczyć odległość jednéj z nich. Przyczyna opóźnienia tego oznaczenia była w tém: że przywiązywano się ciągle do gwiazd najświetniejszych. Następnie odbyto próbę z małą gwiazdką № 61 konstellacyi łabędzia. Wypadek obserwacyi okazał, że odległość 21 milionów mil, która nas oddziela od słońca, może tu zaledwie służyć za jednostkę. Trzeba bowiem pomnożyć tę liczbę przez 600 tysięcy, a będziemy mieli 12,600,000,000,000 mil geogr. — odległość najbliższéj znanéj gwiazdy.

Ażeby powziąść wyobrażenie o czasie jakiego potrzebuje światło téj gwiazdy dla dojścia do nas, trzeba sobie przypomnieć, że światło ubiega 42,000 mil na sekundę. — Ponieważ godzina zawiera 3,600 sekund, pomnożywszy te dwie liczby przez siebie, iloczyn ten przez 24, będziemy mieli drogę przebieżoną w jednym dniu. Pomnożywszy wypadek ten przez 365 ¼, będzie droga odbyta przez światło w ciągu roku; ostatni ten wypadek nakoniec pomnożywszy przez 10, otrzymamy czas jakiego potrzebuje światło najbliższéj gwiazdy dla dojścia do nas t. j. lat dziesięć.

Tym więc sposobem za pomocą samych rozumowań dowiemy się, że światło gwiazd najbardziéj od nas odległych, t. j. takich, które możemy tylko dostrzegać przez teleskop Herschla dziesięciostopowy, potrzebuje dla dojścia do nas prawie lat tysiąc; światło zaś gwiazd odkrytych za pomocą teleskopu 20sto stopowego, potrzebuje lat najmniéj 2,700.

Lecz są jeszcze gwiazdy w większéj od tych odległości.

Znajdują się gromady gwiazd oznaczone nazwiskiem mglistych, na które długo obojętnie spoglądano. One nastręczają bardzo rozległe pole poszukiwaniom, które, jak się zdaje, wydać powinny pożądany wypadek. Już oznaczono 5 do 6,000 takich gwiazd. Jasność biaława spostrzegana na niebie, znana pod imieniem drogi Świętego Jakóba lub drogi mlecznéj, wskazuje kierunek długości jednéj z nich. Gromada ta ma w sobie miliony gwiazd, a ziemia nasza do nich należy. Tak więc kiedy odkrycie jednéj z gromad zawierających tylko 5 do 6,000 gwiazd przedstawia takie wypadki, jest prawdopo-

dobném, że odkryją kiedyś okolice w przestrzeni skąd światło gwiazd potrzebować będzie miliony lat dla przejścia do nas.

Są także gromady gwiazd mglistych, których światło nie jest skupione. Jest to materya gwiazdowa, która prawdopodobnie przestanie się zgęszczać i będziemy mogli powiedzieć, że jesteśmy obecni tworzeniu się światów. Są także gwiazdy jedne które powstają, inne znowu znikają—są takie których blask powiększa się, zmniejsza i znika—są także i peryodyczne.—Są nakoniec takie, co różniąc się swoją wielkością pozorną, przechodzą z pierwszéj do czwartéj wielkości.

Zrobimy nakoniec pytanie, czy słońce jest jedną z tych gwiazd perjodycznych? Herschell starał się rozwiązać to pytanie uważając zjawiska ciepła. — Inne znowu gwiazdy są podwójne, a ich ruchy względne od siebie zależą. Kolor ich jest zmienny. Jedne są czerwone, drugie niebieskie. Rozbierzemy system tworzenia się świata Laplaca, oparty na obserwacyi skupiania się materyi gwiaździstéj.—Taki jest zbiór pytań, które roztrząśniemy w tym kursie i poprzemy niezaprzeczonemi dowodami.

Wśród tylu wypadków i odkryć sławny Professor nie mógł pominąć tego szczególnego porównania. Kiedy nauka dowiodła już że ziemia była tylko $\frac{1}{355,000}$ częścią słońca, a słońce samo stało się bardzo małą gwiazdką w téj niezmierzonéj przestrzeni, rozum ludzki został prawie przerażony, i człowiek uczuł się upokorzonym...

Lecz skoro znowu zwrócimy uwagę jak były słabe środki materyalne któremi rozrządzał, do jakiego stopnia posunął swą gorliwość, swe usiłowania, ile potrzeba było trudów, wytrwałości aby dojść do mierzenia czasu z dokładnością $\frac{1}{10}$ sekundy, wtenczas gdy najmniejsze ruchy atmosfery, najsłabsze zmiany temperatury bezustannie wiodły go do błędu przed tylu pokonanemi trudnościami i dziwnemi wypadkami, do których ludzi pojęcie ich doprowadziło— nie można zaprzeczyć, że jeżeli człowiek jest małym w porządku materjalnym, jest wielkim w świecie idei....

Warszawa d. 23 września 1847 r. E. T.

TREŚĆ RZYMU

W PIERWSZYM OKRESIE.

(Dalszy ciąg.)

Przedstawiłem poprzednio, że Niebuhr królów rzymskich, i dzieje Tarkwiniusza pysznego, na skalę monarchów średniowiecznych kreślił; i mylnie pojmował politykę ich względem plebejuszów: gdyż król rzymski jako prawowierny patrycyusz, jako część świętego rodu, wraz z nim musiał powtarzać—*sordida plebs*, i odpychać niedowiarków. Użycie ich przeciw Patrycyuszom byłoby świętokradztwem; i ówczesny lud rzymski nie miał jeszcze téj potęgi i znaczenia jakiego nabył, w czasach następnych, wśród ciągłych wojen z sąsiedniemi gminami. Nadto rody patrycyuszowe mają istnienie od pospolitéj oddzielne i są z nią tylko przez tryby własne połączone; nie nikną w niéj tak jak rodziny latyńskie, w gminie, ani jak chińskie, w teokratycznêm jednowładztwie. Przeto i w tym względzie zachodzi różnica pomiędzy gentes patrycyuszowemi, a rodami plebejuszów.

Od rodów pierwszych do drugich jest stopniowe przejście; są rody pośrednie, podług Savignego, z pomieszania dwóch pierwszych rodzajów powstałe: jakoż w gens claudia istnieje ród plebejuszowy Marcelliuszów. To zarazem przekonywa, że rody patrycyuszów i plebejuszów nie są wbrew przeciwne, ale są tylko różne: i rzeczywiście ród patrycyuszowy święty, teokratyczny, stanowi niższy stopień w rozwoju idei rodów, od rodu plebejuszowego gminnego;—są to dwie fale, jednego oceanu; dwa odcienia, jednéj barwy. Pierwszy ród jest przedmiotem prawa świętego—jus sacrum;—drugi prawa gminnego kwiryckiego—jus quiricium;—a oba te prawa są stopniami juris gentium.—

Dla dopełnienia pojęcia o gentes rzymskich, rzucimy przelotny pogląd na rody średniowieczne miejskie, mianowicie Włoch:

Pospolite miejskie odrosły z pozostałéj po rzymianach municypalności, do któréj się przyłączył nowy pierwiastek feudalny: ztąd nowego rodzaju patrycyusze. W sercu gmin miejskich, na ich braku, tworzył się lud, z ludzi wolnych, tak Rzymian jak i Germanów, którzy nie mieli szczęścia należeć do feudalnéj hierarchii. Takie zamknięcie, w murach grodu, nowéj arystokracyi i demokracyi wywarło uporne walki; i zwycięztwo ludu zrodziło nową cechową arystokracyę, i nowych plebejuszów; którzy, po przemożeniu cechowéj arystokracyi sami jéj miejsce zajmując, stali się łupem jednostkowego egoizmu. Taki rozwój, żywiołów miejskich, jest podobny do dziejów Rzymu; chociaż widoczna zachodzi różnica pomiędzy Parentelą klassową, feudalną, powstałą ze stanów feudalnych; i rzymskim teokratycznym patrycyatem: jak równie pomiędzy cechową; i arystokracyą bogactw i zdolności. Różnią się także plebejusze rzymscy, od ludu miejskiego. Pierwsi, byli to niedowiarkowie zawojowani; a raczéj gminy które straciły własny majestat, i stały się *alieni potestatis*: w miastach lud składały jednostki wolne—arimani—niczém się od Patrycuszów co do wiary i pochodzenia nie różniącéj; którzy nie otrzymali ani dostojeństw, ani posiadłości feudalnych. Następnie zaś ludem—cives—byli ci, którzy nie mogli się dostać do panujących cechów. Rozwój pańskości i ludowości, w miastach średniowiecznych, jest wyższym momentem, wyższym stopniem, w porównaniu z rozwojem téj idei w Rzymie.

Parentelae, Cognationes, jak sama ich nazwa pokazuje, były to domy dekuriońskie, w których przebywały pierwsze godności miejskie. Rody te osiadłe w cyrkułach miasta, rozszerzając swe patrońnstwo nad całym cyrkułem, zamieniły się w osobę moralną obywatelem miast będącą. Lud, na wzór arystokracyi, składał podobne ciała i tym sposobem powstały parentele ludowe—*Paraige du commun*. Każda parentela, składając stan w stanie, miała swój osobny zamek i głowa tego związku zajmowała w nim przedniejsze pomieszkanie. Domy te miejskie naprzemian piastowały dostojeństwa miast.—

One pochodząc od dekuryonatu były dalszym ciągiem rodów rzymskich, lecz z już zupełnie innym charakterem; nie łączy ich spojnia wiary, lecz jedność polityczna, ze związków krwi powstała; który to związek w Paraige kommun zupełnie niknie, i w cechy się wyradza.

Po przedstawieniu różnicy plebejuszów od patrycyuszów, pozostaje nam jeszcze porównać plebejów z niewolnikami. Niewolnik i plebejusz są to dwie rzeczy tylko różne; i dla tego można powiedzieć, że plebejusze—w pierwszym okresie—są niewolnikami pospolitéj: a niewolnicy, są plebejuszami rodów patrycyuszowych. Kiedy pospolita podbije gród niewierny; a ród patrycyuszowy ujmie, członka gminy niewiernéj; to pierwszy staje się plebejuszem, a drugi niewolnikiem: przeto początek tych dwóch instytucyi jest jednakowy. Plebeje i niewolnicy są to współrodacy. Gminę zależną z gminą panującą a raczéj z jéj bóstwem, łączy węzeł wiary—fides:—podobnie i niewolnika z rodem pańskim, bóstwem tegoż, łączy takaż wiarowa spójnia. Dla tego to właśnie niewolnik uczęstniczy w wierze swojego rodu; i po wygaśnięciu jego członków, staje się sam rodowym, i piastunem rodowych ofiar. Podobnie i plebejusze stają się z czasem ze sług gminy świętéj, samą gminą. Plebejusz istnieje w gminie na zasadzie *pietatis*, i używa *juris gentium*;—toż można o niewolnikach rodu powiedzieć. Takie podobieństwo jest powodem, że niewolnicy z czasem stają się plebejuszami, a ci niewolnikami. Kiedy *servus* przez wyzwolenie, i po uznaniu jego osobistości, z człowieka stanie się obywatelem—civis—stanie się klientem; i po utracie patronatu, wstąpi do regionu plebejskiego, wtenczas zostaje członkiem ludu. Kiedy zaś ród plebejski przez zaciągnięcie długów, zamieni się w nexa; i przez przysądzenie stanie się *nexus addictus*, to z plebejusza robi się niewolnikiem rodu świętego, chociaż niewola ta de jure jest czasowa, lecz de facto, przy wzrastających procentach staje się wieczną. Jak nexus addictus, tak i właściwy niewolnik ma sobie zostawione jus postliminium; i skoro zbiegnie, lub się wykupi i wróci na łono własnego grodu, przybiera znowu dawną obywatelską godność. Pomimo takiego podobieństwa istnieje pewna różnica:—Niewolnikiem jest tylko jednostka, a nie gmina. Przy podbiciu gminy i zamienieniu jéj

w kommunę, potrzeba jéj poddania się w opiekę bóstwa pospolitéj panującéj: przeciwnie niewolnik bierze się gwałtem, i niepotrzeba jego zezwolenia, a to jedynie z tego powodu, że *jednostka* w pojęciu starożytnych *nie jest osobą*, jest cząstką własności obcego bóstwa, lecz nie całą własnością; jest cząstką bóstwa, ale nie bóstwem. Przeciwnie gmina cała jest osobą, i ma swe bogi i bez zezwolenia tych nie może się poddać innemu bóstwu: Według uspołecznienia wsobistego, teokratycznego, nie pospolita uznaje zwierzchność pospolitéj, a raczéj bóstwa w które jest wcielona gmina podbita, poddają się bóstwu gminy zdobywczéj. Dla tego nie tak srogie jest obchodzenie się z gminami zabranemi, jak zabranemi jednostkami. Z tego jeszcze powodu obok plebejuszów istnieją niewolnicy pospolici—servi publici—lecz istnienie ich w pierwszym periodzie nieprawdopodobne, albowiem niewyrobione pojęcie gminności o niewolnikach gminnych myślić nie dozwala. Nadto różnica losów, i znaczenia jednych i drugich, z góry zapowiadają o różnicy samych instytucyi: Plebejusze stają się kwirytami, niemniéj szlachetną połową Rzymu; a w końcu w Rzymian się zamieniają: niewolnicy zaś nigdy nie złożyli ordo; i tylko przez cząstkowe zamienianie się w plebs, i zrośnięcie się z tymże, nabierają obcéj świetności. Niewola nigdy nie zaświeciła w Rzymie własném światłem, i jest księżycem plebeizmu. Pochodzi to z różności źródła, z których te dwie instytucye wypłynęły. Plebejusz był to dawniejszy pan Rzymu, odzyskać przeto musiał, w ciągu dziejów odebrany sobie majestat: przeciwnie niewolnik był całkiem Rzymowi obcym i jedynie przez zlanie się, z dawném obywatelstwem, mógł zostać Rzymianinem.

Plebejusze i niewolnicy istnieją w ciągu całych dziejów rzymskich, i w ostatnich czasach plebs rodzi się z niewolników; tak więc, w ciągu rozwoju, plebeizm i niewola spływają się ze sobą, i na tém się ich rozwój wśród uspołecznienia rzymskiego kończy; są więc i różne i podobne: jak wszystko co istnieje na świecie realnym, idealnym i rzeczywistym.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA PISMIENNICZA POLSKA.

—

Grammatyka Polska, ułożona przez Teodozego Sierocińskiego, Professora języka polskiego i literatury w Instytucie Alexandryńskim. Część 2ga. Z załączeniem nauki o postaciach retorycznych, o wierszowaniu, i o stylu.

(Ciąg drugi.) *)

Na pierwszéj zaraz karcie, uderza nadzwyczaj nielogiczny wykład. W § II, autor powiedziawszy: „Myśl składa się z wyobrażeń a mowa z wyrazów; ile więc jest wyobrażeń w myśli, tyle i wyrazów w mowie," następny okres zaczyna od spójnika „Lecz" wyrażającego przeciwność. Zdaje się więc, że treść drugiego okresu być powinna; „lecz może być wyrazów więcéj lub mniéj." Tymczasem nad wszelkie spodziewanie czytelnik znajduje: „Lecz myśląc o czém i mówiąc sądzimy i sąd swój wydajemy; a stąd mowa, jako obraz myśli, jest wyrażeniem sądu."— Mająca zaś logicznie nastąpić myśl po spójniku „lecz" odniesioną została aż na stronę 3cią, pod koniec uwagi 2éj. „Tak więc w zdaniu nie zawsze są trzy wyrazy główne wyraźne, *lecz może być ich dwa lub jeden tylko*"

Lecz tego nie dosyć. W przytoczonym pierwszym okresie § IIgo, autor utrzymuje że „Myśl składa się z wyobrażeń, a *mowa z wyrazów*", a na str. 2éj w uwadze do § IIIgo widzi się być zmuszonym do poprawienia się „Przeto mowa składa się właściwie *nie z wyrazów, ale ze zdań*." Ale czy objaśnił autor co rozumie przez zdanie? Bynajmniéj. Jest wprawdzie § IIIci z napisem: „Oznaczenie sądu i zdania", w którym definicyja zdania powinnaby mieć swe miejsce.

*) Zob. Nr. 24 Przegl. Nauk. T. III.

Ale napróżnoby jéj czytelnik szukał nie tylko w tym paragrafie, lecz i w całéj składni; bo autor uznał za rzecz stosowniejszą przenieść ją do Części Iszéj swojéj grammatyki, gdzie dopiero jest mowa o wyrazach odrębnie uważanych i gdzie na str. 63, w uwadze 1éj, są takie wyrazy: „Sąd wydany w mowie *nazywa się zdaniem.*" Może to być logicznie podług autora, ale nam się taki wykład zdaje bezładnym.

Powrócić jeszcze będziemy zmuszeni do rozważanych paragrafów, gdy mówić zaczniemy o szczegółach mylnie pojętych; lecz teraz przestajemy na przytoczeniu ich jako przykładu przedstawiającego zagmatwanie w wykładzie i przechodzimy do próbki wielomówności.

Na stronie 9, w § XI, rozmaitych zdań gatunków liczy autor 16: *główne* i *przydatkowe*, *czynne* i *bierne*, *osobiste* i *nieosobiste*, *twierdzące* i *przeczące*, *zupełne* i *niezupełne*, *spółrzędne* i *niespółrzędne*, *określające* i *dopełniające*, *włączne* i *nawiasowe*. Lecz na tém nie przestaje, bo w ciągu swéj książki wprowadza jeszcze zdania *nierozwinięte* i *rozwinięte* (str. 2); *pojedyncze*, *złożone* (str. 3); *pytające*, *odpowiadające*, *oznajmujące*, *rozkazujące*, *życzące*, *warunkowe*, *przypuszczające*, *zezwalające*, *możliwe*, *przyczynowe*, *wnioskujące*, *ogólne*, *szczególne* (str. 13); *zupełne*, *niezupełne* (taż strona); *przyległe*, *nieprzyległe* (str. 15); *okresowe* (str. 63) i t. d. Jakaż korzyść z takiego drobiazgowania nomenklatury? Czyż nie stosowniéj było wybrać te tylko zdań gatunki, których wyobrażenie objaśnione, mogłoby rzucić światło na sposób pojmowania uczących się, niż dla zadosyć uczynienia wielomóstwu gromadzić wyrazy bez żadnego pod względem nauki znaczenia? Czyż można kłaść w jednym rzędzie zdania np. *główne* i *przydatkowe* z *czynnemi* i *biernemi?* Dopókiż w wykładzie nauk będziemy popisywać się tylko z erudycyją wyrazową, nie odróżniając tego, co pod względem swéj treści potrzebuje objaśnienia?

Innego rodzaju przykład rozwlekłości w wykładzie, przedstawić mogą §§ od XXII—do XXVI, tudzież § XXIX. Pierwszych treścią jest objaśnienie rozmaitego użycia *przysądnika*; na co dostatecznym byłby § XXVI. Poprzedzające bowiem, z wyjątkiem uwagi o zgodzie *przysądnika* z rzeczownikami zbiorowemi; tudzież przepisu zgadza-

nia części zdania złożonego (§ XXIV), są albo rozszerzeniem tego, co się w krótkości mówi w § XXVI; albo też szkodliwe dla języka pod względem jego czystości zawierają przepisy, jakim jest § XXV, gdzie się mówi o tego rodzaju wyrażeniach jak np. *jest się ciągle szczęśliwym*. Tenże § XXVI, mianowicie w połączeniu z uwagą 2, umieszczoną na str. 20, i mającą na celu wskazanie użycia wyrażeń *professor uniwersytetu* i *professor uniwersytecki*; syn *księcia* i *syn książęcy* i t. p. dostatecznie mógłby zastąpić cały paragraf XXIX, w którym autor naciąganym sposobem stara się okazać użycie *rządu* zamiast *zgody*.—Wreszcie cały § XXIX mogłaby także dostatecznie zastąpić uwaga 1, na str. 30 w następnych zawarta słowach: „Wyrazy wymagające określenia, niekiedy rządzą określającemi, zamiast coby te z niemi zgadzać się miały." Rozwlekłe bowiem rozszerzanie téj myśli, tworzące § XXIX, dwie stronice zajmujący, ani objaśnia, ani też nic nowego nie dodaje do przytoczonéj uwagi. (*D. c. n.*)

Poranki i Wieczory. Obrazy, szkice i powieści, przez *Paulinę z L. Wilkońską*. Tom II. Warszawa, 1847 r.

Pani Wilkońska, utalentowana autorka, znana czytającéj publiczności od lat kilku z wydawanych powieści, dziś obdarzyła nas nowemi obrazami, szkicami i powieściami, częścią już w pismach czasowych drukowanemi, częścią zupełnie nowemi, którym dała ogólną nazwę: „*Poranki i Wieczory*." Treść każdéj prosta: zawikłanych, długich, ciemnych intryg napróżnobyśmy szukali (brak intrygi nie czyni zadość warunkom zajęcia dla tych, którzy ją za główniejszy, wszakże mylny, warunek kładą, a którą my uważamy za podrzędną, zwłaszcza że autorka w tak szczupłych ramach maluje swoje obrazki, że jedynie na wybitne i trafne zeszkicowanie charakterów i obrobienie zewnętrzne zwracać powinniśmy uwagę); nie ma tu i wrzących, ognistych wylewów namiętności; całą ich zaletą stawianie na widok strony uczuciowéj. Autorka opisuje sceny pożycia, jakie jéj wyobraźnia i własne doświadczenie nasuwa. Prawość uczuć i dążność jak

najszlachetniejsza cechują jéj utwory. W dawniéj wydanych powieściach pani Wilkońska okazała rzetelny i niezaprzeczony talent, wszelakoż niektóre szkice z obecnego wianeczka, wszystkie wzmiankowane zalety w wyższym łączą stopniu.—Spodziewać się przeto należy, że ogół czytający z miłém je przyjmie uczuciem.

Obecna czytająca powszechność nasza dzieli się na dwie strony: jedna z nich w powieści, w romansie (nie sięgając wyżéj) znajduje dostateczny pokarm dla zaspokojenia szczupłéj indiwidualnéj potrzeby umysłowości; szuka w nich zajęcia, rozbudzenia wyobraźni, zaspokojenia ciekawości, słowem, umysłową rozrywkę i miłe zabicie czasu za główny warunek uważa—a po przeczytaniu, stosownie do tego z jaką sztuką utwór napisany, nie wnikając w ducha jego, otworzywszy usta podziwu, zostaje pod wpływem wrażenia działających osób i sztucznie powiązanych a effektowych wypadków. Potrzeby duchowe drugiéj strony ogółu w powieści, trudniéj daleko zaspokoić: bo ona zimnym rozsądkiem bada jak też autor pojmuje serce ludzkie? czy rzeczywistość obecną wielostronnie ujął? jaki cel wskazał? jaką dążność wyraził?—czy ogół odniesie jakikolwiek pożytek, duchowy pokarm? czy głowa i serce na tém zyskają? ażali z wystawionych charakterów czytelnik nie wysnuje dla siebie wątku praktycznego życia? ażali nie przeczuje wielkiéj nauki życia? i nareszcie ogólny warunek, czy powieść wszystkim wymaganiom sztuki odpowiada? Mówimy: *nie przeczuje*, bo nauki życia, ani z romansów, ani z żadnych teoryj nie nabędziemy, gdyż kluczem do otwarcia téj księgi są praktyczne stosunki przy obfitych zasobach moralnych ze wszystkiemi warstwami społeczeństwa, doświadczenie, doznanie nieszczęść i przeciwności: w walce ze światem dopiero jéj nabywamy.—Teraz nastręcza się nam pytanie—czy wszystkie te żywioły rozwinięte w powieściach pani Wilkońskiéj?—bez zaprzeczenia istnieją, chociaż niektóre dopiero w pierwiastkach.

Teraz przejdźmy do ocenienia tych obrazów, szkiców i powieści po kolei, każdego z osobna acz pokrótce.

Młynarczanka z Czarnopola.— Oto jest treść: Młody, ukształcony, znękany życiem i przeciwnościami losu Wacław Borowski, po-

znaje za granicą Florentynę, siostrę stryjeczną. Jéj wdzięki, ukształcenie, dobry grunt serca i inne zalety, czynią na nim pewne wrażenie. Rodzice Florentyny na wspólnéj skłonności dwóch młodych serc i na widokach połączenia majątków *i zachowania od zagłady imienia Borowskich*, uzasadniają związek Wacława z Florentyną. Zaręczyny dopełnione. Wacław wraca sam do kraju i w dobrach stryjostwa osiada.—Tu poznaje towarzyszkę i przyjaciołkę narzeczonéj, Joannę, córkę młynarza z Czarnopola, którą Borowscy z równém jak córkę wykształcili staraniem—istotę, która ciernistą życia przebyła koléj, któréj się przyszłość nie uśmiecha. Otóż Joanna i Wacław są bohatérami powieści—te dwie postaci zawiązują cały dramat. Anielska i nieco egzaltowana postać Joanny, jéj dusza poetyczna i marząca, powoli zaciera w sercu i umyśle Wacława poprzednie wrażenie, które w nowe, silne przeradza się dla Joanny uczucie. Wacław kocha ją, uczucie zrodzone świadczy, że znalazł to szczęście, którego posiadanie oddawna czuł niepodobném, że uczucie, które uważał za przekwitłe w swém sercu, nie nowym, lecz prawdziwym i świeżym zajaśniało blaskiem. Nawzajem, dusza poetyczna Joanny żywą wyobraźnią wprawiona do lotu, goni za ideałem i gdzieś w górnych sferach spotyka się z duszą Wacława—te dwie dusze myślą i harmonią łączą się ze sobą. Rozwijająca się miłość Joanny i Wacława przedstawia wcielone obrazy uczuć i skłonności serca ludzkiego z prostotą i trafnością narysowane. Joanna we wszystkich sytuacyach, jakie zajmuje, jest czémś nadludzkiém, anielskiém przy swoich zajęciach, skłonnościach i niesieniu ulgi i pociechy nieszczęśliwym, którą wszyscy wielbią, szanują i kochają. Czuje ona w swém sercu rozwijające się uczucie, przeczuwa miłość ku sobie Wacława, i lęka się, aby postępkiem, słowem, nie zdradzić tego uczucia, które pragnie w duszy na zawsze zakopać—bo widzi pomiędzy nim a sobą górę z przesądów ludzkich usypaną;—strome jéj ścieszki do przebycia nie dla słabéj i wątłéj stopy kobiety, silna dusza mężczyzny śmiałym krokiem przebywa zaporę; wspólne ich sercu uczucie drogę mu toruje i przeszkody usuwa. Dusze ich obok siebie postępują—dusza Joanny promienieje szczęściem, lubo te rzadkie w jéj życiu chwile jakieś przeczuciowe nieszczęście wciąż paraliżuje—dusza Wacława toczy walkę,

skrępowana obowiązkiem, przyrzeczeniem—przewiduje wynikłe stąd następstwa—czuje wyrzut wewnętrzny.— Zakończenie zbyt smutne i bolesne: Joanna dowiaduje się z listu, że Wacław jest narzeczonym jéj przyjaciołki, któréj niemal wszystko jest winna, szlachetna jéj dusza nie chce zawadzać na drodze żywota Florentyny—Joana topi się w nurtach jeziora.—Wacław poległ w walce z Arabami...

Oto interes i posada całéj powieści.

Owoż czytelnicy przekonali się, że treść i istota powieści zwyczajna, a jednak przyznać muszą, że trzeba wiele mistrzostwa, aby z tego tematu tyle wysnuć pięknych myśli, tak sztucznie szczegóły powiązać, tak cudnie ogół obrobić, charaktery trafnie zeszkicować, nicią uczucia powiązać, tyle rzewności rozlać, postać Joanny w tak poetyczną przyodziać szatę, lubo nieco uidealizowaną, a przecież nie widać tu nigdzie ani zmyślań, ani sztucznych efektów, ani uczoności; urocza woń czystych dziewiczych uczuć rozlana po całym utworze, widać dzieło prosto z serca wysnute. Mowa téj powieści wznosi się często do poetyczności—wątek cały pięknie utkany, całkiem zwykłemi autorce, rzewnemi i uczuciowemi obrazami poprzeplatany.—Charaktery nawet podrzędne, jak Florentyny i Proboszcza, z życiem narysowane; stopniowanie miłości Joanny i Wacława ani pośpieszne, ani za powolne—bieg i następstwo wypadków rozłożone stosownie i trafnie—dążność wybitna. — Młynarczankę uważamy za perełkę wszystkich utworów autorki; postęp widoczny na każdym kroku.—Z serca pragniemy, aby takie obrazki najwięcéj nam kreśliła autorka, jako najbardziéj przypadające do cechy jéj talentu, a z serca życzymy, aby je wszyscy czytający mieli w ręku.

„*Bez przesądu.*" Całkowitéj treści téj powieści dać niepodobna, dla mnóstwa przedstawionych obrazów i wprowadzonych typów, naszkicowanych w przelotnych, przerywanych a jednak ciąg i stosunek mających rysach. Zdaje się, że w téj powieści wyrazić ideę postępową, powstać na przesądy, którym niektóre kasty w społeczności hołdują i zasady zdrowe, szlachetne, odbić w powszechności umysłach, było głównym celem autorki. Strona obrazowa, ugruppowanie figur i następstwo wypadków dość szczęśliwe. Miłość jako żywioł roman-

su i powieści, i tu niepodrzędną gra rolę, bieg wypadków i ruch figur do siebie nagina. Romans hrabianki Heleny z artystą malarzem, synem wieśniaka, budzi współczucie i zajęcie; autorka tylko grzeszy, że stopniowanie miłości rozwlekłe i niedość wybitne, we wzajemnych stosunkach niedość wyrażone; sceny wszkaże pożegnania i wyznania pięknie skreślone.

„*Z życia Hoffmana.*" Jest to jedno z wydarzeń w życiu tego znakomitego człowieka. Trzeba być tak wielkim badaczem i znawcą serca ludzkiego, i trzeba tak subtelnie pojmować odcienia muzyki, znać jéj duszę, jak Hoffman, aby rozpaczający stan duszy człowieka, wyrażony w dziwnéj melodyi, z tychże samych dźwięków odgadnąć.

Przejdźmy do tomu drugiego:

Kilka scen z życia Plebana wiejskiego. Typ biednego plebana w tak szczupłych ramach, bo zaledwie w obrazku wystawiony, a jednak wybitnie narysowany — ów typ męczennika - chrześcijanina nie ciałem, bo wiara w pośród wierzących nie wymaga takiéj ofiary, lecz męczennika zaparciem się samego siebie dla dobra ludzkości, który staczając walkę z nędzą i nieszczęściem, ociera łzy nieszczęśliwym, świętością jaśniejący, darem słowa bożego błędnych na drogę wprowadza, zwaśnionych jedna, zasiewając cnotę i ziarno ewangieliczne w dusze proste ale szczere; który wreszcie z chrześciańską pokorą i cierpliwością przyjmuje zawiedzione nadzieje, jakiemi się pieścił, aby ulżyć biedy sędziwéj matce i ociemniałéj siostrze. Zaiste! typ wzniosły, rzadki pomiędzy nami, a rzadziéj jeszcze oceniony; z latarnią takich wyszukiwać potrzeba. Charaktery podrzędne lekko ocieniowane; obrobienie sztuczne, nad całym szkicem panuje jakieś błogie uczucie religii, spokoju, cnoty i poddania się chrześcijańskiego.

Ziarnko piasku. Autorka nie przedstawiła nam w żywéj barwie Lucyi, ani Janusza, chociaż to są dwie główne figury. Charakter Janusza zbyt pobieżnie skreślony, który uczucie serca poświęca zimnemu wyrachowaniu, opartemu na widokach poprawienia materjalnego bytu; opowiadaniem Izabelli, jéj docinkami i fantastyczną wizją Lucyi, zapóźno na drogę prawą zwróconéj. Scena przy trumnie rzewna

i effektowa. Myśli napotykamy dużo, ale wyobraźnię czytelnika uderza więcéj egzaltowana i nieszczęśliwa miłość Lucyi.

Chwila pojednania. Dwie strony powieści: artystyczna i dążnościowa, ściśle są tu połączone; obrobienie staranne, zwłaszcza od połowy nic nie pozostawia do życzenia; myśl poczciwa niemal na każdéj karcie świeci—błogosławmy za to szczerym i szlachetnym chęciom autorki.—Indiwidua rzucone tu nie w samych tylko dyalogach rozwijają swój charakter, autorka często od siebie mówi, własną myśl dorzuci, własnym sądem szczegóły i charaktery określa. Wątek powieści osnuty na dwóch sercach szlachetnych przepełnionych uczuciem; charaktery podrzędne trafniéj od niektórych poprzednich zeszkicowane.

Sama jedna. Rzadko się zdarza przeczytać równie piękny szkic na tle uczuciowém i rzewném osnuty, a pięknemi myślami przepełniony; po przeczytaniu trudno otrząsnąć się z wrażenia jakie po sobie zostawia; mimowolnie rodzi się w duszy czytelnika boleść, tęsknota i głęboki żal nad losem *Klary* i jej dwóch matek, które w grobie pochowała. Zalety tego rodzaju utworu są téj natury, że obecnie tylko w myśli i uczuciu ocenić się dadzą.

Grób w Nowym-Jorku. Obrobienie i zalety poprzedniéj powiastki i ten szkic cechują.

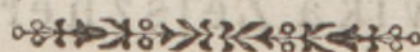
Gawędka towarzyska. Sucha zrazu, potoczna rozmowa w salonie, nieożywiona dowcipem—ugruppowanie osób nie zaleca się barwnością, wynagrodzone następnie żywém, powieściowém i zajmującém opowiadaniem jednéj z figur posiedzenia; rzecz usnuta na jednym ze zwykłych wypadków towarzyskiego życia.

Na zakończenie rzućmy jeszcze parę uwag, które się nam po przeczytaniu ogółu nastręczyły:

We wszystkich utworach p. Wilkońskiéj przebija się czysta moralność, i słodka łagodność uczuć; tę autorka obrała sobie za wskazówkę w literackim zawodzie i nigdy téj prostéj drogi bocznym torem nie obeszła. Wszędzie główniejsze charaktery stosownie oddane i starannie obrobione—podrzędne mniéj więcéj trafnie zarysowane, lubo niekiedy grzeszy niezbyt głębokiém wtajemniczeniem się w naturę ludz-

ką, niestarannėm przerozumowaniem miejsc pojedynczych. W szkicach, powieściach, stosownie do obecnego wysokiego ich stanowiska, wymagać mamy prawo głębszych psychologicznych rysów przy obrobieniu charakterów, uwag nad życiem, nad prawdami ogółowemi, którym społeczność hołduje. W powieściach autorki nie znajdziesz żywiołu filozoficznego, myśli suchych, głęboko pomyślanych, ale za to ileż serca, ileż uczucia, a nawet poezyi—nie przedstawia nam walki wytrwałéj, walki duszy hartownéj, którąby pod ciosami nieszczęść nie uległa; to też wszystkim niemal jéj bohatérkom, czy to doznały zawodu uczuć, czy to nadzieje swoje w grobie ukochanéj istoty złożyły—pomimo ogromu bogactwa serca i religii, brak siły, brak wytrwania—jest walka duszy, ale pożerająca je. Musimy tu jeszcze zarzucić, że autorka nie przedstawia nam ujemnéj strony społeczeństwa. Charakterów w gruncie złych nie obrabia—wystawione przez nią typy ze złéj strony, nie są występne a raczéj tylko wadami przepełnione;—malowaniem samych figur poczciwych rozminąłby się autor z dążeniem mającém obyczajowość na celu. Złe, które się w łonie społecznėm gnieździ, wypadałoby nie ukrywać, ale na jaw wyprowadzić, w zewnętrznych stosunkach wyrazić, nadto skutki występków, wad, określiwszy, zgubny ich cel wskazać, bronią satyry wyszydzić—w przeciwnym razie pracom zabrakłoby przedmiotu i interessu, i trudniéj byłoby wziętość literacką zdobyć.

S. M.



ROZMAITOŚCI.

—

Wiadomość umieszczona w piśmie Biblioteki imienia Ossolińskich, że pan Jan Kanty Łobarzewski posiada znaczny zbiór alg, czyli porostów przedpotopowych, które się znajdują w warstwach karpackiego

piaskowca, wiadomość ta, mówię, nabiera w świecie naukowym dziś wyższego znaczenia, niżby to sądzić można na pierwszy rzut oka;— z najnowszych bowiem prac pana Ludwika Zejsznera okazuje się, że podstawą gór karpackich średniéj wysokości, nie jest tak zwany piaskowiec karpacki Puscha, lecz są trzy różne i oddzielne formacyje, których ogniwa Pusch błędnie zadeterminował i do jednéj policzył formacyi.

Oznaczenie karpackiego piaskowca podług sposobu widzenia Puscha (odpowiadające formacyi Flischa i innych geologów), wystarczało wprawdzie na swoje czasy, lecz nie wystarcza dzisiaj; chociaż tego rodzaju zadeterminowanie całéj formacyi, jest raczéj geograficznéj niż geologicznéj natury. Dziś jednak okazał pan Ludwik Zejszner, w swoim „Geologicznym opisie Tatrów i wzniesień równoległych”, tudzież w „Opisaniu nowych skamieniałości tatrowych”, iż jedna część tak zwanego karpackiego piaskowca należy do jurasowych wapieni; druga składająca się z kilku ogniw, jest czémś oddzielném zupełnie, i tę charakteryzuje według pana Zejsznera piaskowiec fukoidowy; trzecia nakoniec część należy do formacyi soli kamiennéj, która się już podług dawniejszych poszukiwań pana Ludwika Zejsznera okazała należącądo formacyi trzeciego rzędu. Podług tych dat upada przeto odtąd tak zwany karpacki piaskowiec Puscha, a powstaje potrzeba ściślejszego naukowego zadeterminowania fukoidowego piaskowca pana Ludwika Zejsznera. Do tego mogą posłużyć tylko skamieniałości alg przedpotopowych, znajdujących się w jedném ogniwie téj formacyi, i mających ją cechować na przyszłość. Gdy pan Łobarzewski posiada zbiór znaczny tych alg, w którym się znajduje wiele nowych i dotąd niezadeterminowanych jeszcze rodzajów, życzyćby należało, żeby ten zbiór naukowo opisał; gdyż to rzuciłoby nowe światło na tę całą formacyją fukoidowego piaskowca, i przyłożyłoby się do ustalenia geologicznych pojęć o całym systemacie gór karpackich, o ile piaskowiec fukoidowy takowym za podstawę służy.”

B. N. Z. J. O.

